



Paweł Kozacki OP

KRAŃCE ŚWIATA

Spojrzenie na Kościół
bliski i daleki

KRAŃCE ŚWIATA



Paweł Kozacki OP

KRAŃCE ŚWIATA

Spojrzenie na Kościół
bliski i daleki

w|drodze
☩

© Copyright by Paweł Kozacki, 2016

© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2016

Redakcja

Paulina Jeske-Choińska

Projekt okładki i stron tytułowych

Radosław Krawczyk

Układ stron i skład komputerowy

Teodor Jeske-Choiński

Fotografia na IV stronie okładki

Norbert Kuczko OP

ISBN 978-83-7906-045-0

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Wydanie I, 2016

ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań

tel. 61 852 39 62, faks 61 850 17 82

www.wdrodze.pl sprzedaz@wdrodze.pl

Wstęp

Projekt był taki – pojechać wszędzie tam, gdzie polscy dominikanie pracują jako misjonarze za granicą. Marzeniem Pawła Kozackiego było bowiem zobaczyć i dotknąć, jak nasi bracia realizują marzenie św. Dominika. A Dominik chciał nieść Ewangelię na krańce świata – fascynujące więc było pytanie, na ile żywe jest po tylu wiekach pragnienie naszego założyciela. Byliśmy wtedy razem w miesięczniku „W drodze”. Paweł jednak nie zakończył swojego przedsięwzięcia. Bracia uznali, że krańce świata to dla niego bardziej przełożenie w Krakowie. Jako przeor próbował jeszcze pisać i kontynuować swój zamysł, ale braci uznali znowu, że ten krakowski koniec świata to dla niego za mało. I wybrali Pawła na prowincjała. Jeździ więc dalej, nawet więcej i częściej – właściwie ciągle jest w drodze. Nieustannie też pisze, ale są to najczęściej listy powizytacyjne. Zbiera w nich owoce słuchania braci już nie jako dziennikarz, redaktor i publicysta, ale jako ich przełożony.

Jednak w redakcji *W drodze* zaczęło nam ostatnio towarzyszyć przeświadczenie, że i szerszemu gronu czytelników przydałby się taki „list powizytacyjny”. Bo Paweł Kozacki, duszpasterz – redaktor – przełożony, ma nie tylko bystre i uważne spojrzenie oraz kapitalne pióro. Posiada coś więcej – wyjątkowe doświadczenie Kościoła przeżywanego w różnych miejscach i z różnych miejsc. Zebraliśmy więc jego teksty, pragnąc w ten sposób dokończyć projekt „krańce świata”. Światowy punkt widzenia, związany z odwiedzaniem braci w rozmaitych zakątkach naszej planety, uzupełniliśmy tekstami opisującymi Kościół polski od wewnątrz, z domowego podwórka. Powstała dzięki temu fascynująca perspektywa – spojrzenie na Kościół bliski i daleki.

Niektóre z prezentowanych tekstów opisują oczywiście świat, który przeminął – zmienił się na przykład sposób obecności polskich dominikanów w Stanach Zjednoczonych. Podobnie jednak jak czyta się wciąż mistrza reportażu Ryszarda Kapuścińskiego, choć rozpadły się często opisywane przez niego światy, tak obserwacje naszego reportażysty i myśliciela wytrzymują próbę czasu. Tę perspektywę Kościoła przeżywanego blisko i daleko uzupełniłszy wywiadem – kluczem. Pytamy w nim Pawła Kozackiego, prowincjała polskich dominikanów, jak ta zmiana miejsca wpłynęła na jego postrzeganie Kościoła.

Paweł Kozacki przynosi nam więc w tej książce mozaikę ukazującą Kościół z dominikańskiego punktu widzenia. A spoiwem tej mozaiki tekstów jest miłość. Paweł nie tylko powtarza za chrześcijańskim *Credo*, że wierzy w Kościół, całym swoim życiem wyznaje też miłość do naszej wspólnoty. I choć niekiedy zmienia ona swoje oblicze, zamykając niektóre wątki działalności, jak skończyła się obecność polskich dominikanów na Manhattanie, to jednak Paweł pomaga czytelnikowi odkryć w podobnych kolejach losu echo Jezusowej przypowieści o ziarnie, które musi obumrzeć, by przynieść plon obfity.

Wojciech Prus OP

Ideału nie zmieniałem

z Pawłem Kozackim OP rozmawia Anna Sosnowska

Czuje się ojciec bardziej obywatelem Kościoła czy świata?

Kościół jest moją ojczyzną, moją przestrzenią, wokół której rozciąga się bogaty, różnorodny świat. W Kościele jestem najbardziej u siebie. Dlatego nie ma we mnie takiego myślenia, że muszę zmienić czy zreformować świat, natomiast mam poczucie, że mogę wpłynąć na Kościół.

I dlatego pisze ojciec teksty, które spokojnie można nazwać zaangażowanymi?

Tak, bo to jest moja przestrzeń. Więc jeśli coś mnie w Kościele wkurza, boli, jeśli dzieje się w nim coś trudnego, to o tym piszę, mówię i staram się coś z tym zrobić. A z kolei kiedy widzę w Kościele rzeczy ewangeliczne, to one mnie cieszą, pociągają i kręcą, i też o nich piszę. W ten sposób robię to, co mogę, żeby pchnąć sprawy przynajmniej o kilka centymetrów w tę pozytywną stronę.

Ojciec generalnie nie stroni od mediów.

Obecność w mediach jest marginesem mojej działalności. Od wielu lat bardziej czuję się duszpasterzem niż redaktorem, zajmuję się życiem, a nie opisywaniem życia. Stworzenie tekstu, który przeczyta nawet kilka tysięcy osób, to obrzeża mojego wpływania na kształt Kościoła. Znacznie więcej wysiłku wkładałem i wkładam w prowadzenie wspólnot, bez względu na to, czy była to grupa Wiary i Światła, gdzie zajmowałem się ludźmi niepełnosprawnymi-

mi, czy wspólnota Paleolit, którą tworzyły rodziny, czy obecnie wspólnota zakonu tworzonego przez klasztory. Przez swoją obecność i decyzje, głoszone kazania czy słuchane spowiedzi starałem się inspirować do życia ewangelicznego. Zresztą nawet redagując miesięcznik „W drodze”, robiłem to z myślą o konkretnych ludziach.

No dobrze, ale zaangażowana wypowiedź – czy w tekście, czy w telewizji – oznacza też narażenie się na krytykę i może się negatywnie odbić na pracy duszpasterskiej.

Bywało tak, że po napisaniu jakiegoś tekstu robiła się burza. Ale osoby, które mnie znały z bezpośredniego kontaktu, na przykład z duszpasterstwa, wiedziały, że ta konkretna wypowiedź to tylko fragment mnie, że to nie jestem cały ja. Ten błąd – częściowej oceny – często popełniają ludzie w mediach społecznościowych: przeczytają jeden artykuł, a często nawet sam tytuł tekstu, i na tej podstawie mniemają, że już wszystko o mnie wiedzą i są mnie w stanie zakwalifikować do takiej czy innej opcji.

Właśnie, bliżej ojcu do prawej czy lewej strony?

Staram się patrzeć na świat nie w kategoriach frakcji, ale w kategoriach: prawda – fałsz, dobro – zło. Konsekwentnie też nie wypowiadam się na tematy polityczne, chociaż gdybym zaczął, to pewnie z równą swadą mógłbym dowalać i prawej, i lewej stronie. Nie miałbym też problemu z chwaleniem jednej i drugiej, jeżeli jakieś działanie by mi się spodobało. Tym, co mnie irytuje w publicystyce czy w dziennikarstwie zaangażowanym, tożsamościowym, jest stosowanie moralności Kalego – czyli jeżeli prawa strona coś zrobi, to dobrze, a jeżeli lewa zrobi to samo, to już źle. I odwrotnie.

Podział na prawo – lewo bardzo mocno przeniknął do Kościoła i trudno uciec od takiej klasyfikacji.

Doświadczenie mam takie, że z jednej strony byłem wyzywany od lewaków i liberałów, a z drugiej od konserwy i klerykała. Wszystko zależy od tego, w jakim otoczeniu się akurat znajduję i jak będę przez nie odczytywany. Natomiast ja się nie utożsamiam z żadną etykietką i bardzo się staram, żeby to Ewangelia była dla mnie punktem odniesienia. Na tym mi zależy.

Często porusza ojciec w swoich tekstach sprawy trudne i z kościelnego punktu widzenia politycznie niepoprawne. Myślę choćby o artykule dotyczącym abp. Stanisława Wielgusa czy reportażu z Kamerunu, w którym jeden z misjonarzy zarzuca dominikanom, że nie miał od braci żadnego wsparcia. Nie włącza się ojcu przy podejmowaniu takich tematów samooskarżenie, że to jest jednak kalandria własnego gniazda?

Piszę po prostu to, co widzę. Jeżeli jakaś działalność moich braci czy inny fragment kościelnej rzeczywistości bardzo mi się podoba, to będę się z nich cieszył i opowiadał o nich z entuzjazmem. A jeżeli opisuję coś, co mi się nie podoba, to nie robię tego z chęci dokopania komuś. Żaden z moich tekstów nie jest fascynacją grzechem w Kościele, ale jest wyrazem niezgody, połączonej z pragnieniem, żeby to coś przemienić. Zło trzeba nazwać po imieniu, bo tylko wtedy można obrać właściwy kierunek zmian.

To bardzo przypomina podejście papieża Franciszka. Zresztą w ojca artykułach – chociaż większość z nich powstawała przed wyborem obecnego biskupa Rzymu – można znaleźć więcej Franciszkowych tropów. Piszę ojciec na przykład o otwartości Kościoła, o jego tolerancji, o miłosierdziu, czy o tym, że w Kościele powinno być miejsce dla każdego.

Teraz już wiem, z jakiego powodu lubię Franciszka (*śmiech*). A na poważnie – nigdy nie myślałem o moich tekstach w ten sposób.

Odpowiada ojcu obecny papież?

Zdaję sobie sprawę z różnych zarzutów płynących pod jego adresem i nie mam idealistycznego podejścia, by bronić Franciszka we wszystkich jego poczynaniach. Natomiast teksty, które pisze, dokumenty, które wydaje, są mi bardzo bliskie.

Kiedy kończyło się konklawe, tuż przed ogłoszeniem wyboru kardynała Jorge Mario Bergoglio, byłem akurat gościem w programie Moniki Olejnik. Drugi gość, który znał wszystkie watykańskie koneksje, opowiadał o frakcjach i przewidywał, która którego kandydata przepchnie. Kiedy Monika Olejnik znużonym głosem spytała: „A co na to ojciec Kozacki?”, powiedziałem, że bardzo mi zależy na tym, żeby papieżem nie został żaden z tych kandydatów, których przewidują wszyscy mądrzy watykańscy, ale żeby był spoza Europy i żeby był duszpasterzem. I tak się stało. Według mnie Franciszkiem można się bardzo inspirować.

W jakich dziedzinach?

Papież jest duszpasterzem-praktykiem. To nie jest urzędnik kościelny, to nie jest akademicki teolog, ale ktoś, kto zderzał się z konkretnymi problemami ludzi, wie, czym oni żyją, wie, z się zmagają. Czy wszystkie jego działania są optymalne? Może nie. Czy nie robi pewnego zamieszania? Może robi. Natomiast zachęcanie do tworzenia żywego Kościoła, żywego duszpasterstwa, gdzie najważniejsze jest wychodzenie do ludzi, bycie z nimi, dbanie o ich wiarę, poszukiwanie zagubionych, są dla mnie bardzo inspirujące i znacznie istotniejsze od tego, czy Franciszkowi uda się zreformować Kurię Rzymską, czy nie.

Od lutego 2014 roku pełni ojciec funkcję prowincjała. Czy to się da pogodzić z działalnością dziennikarską?

Bycie prowincjałem na pewno ogranicza możliwość pisania. Po pierwsze, ze względów czasowych. Po drugie, nie da się połączyć

bycia przełożonym i dziennikarzem. Przynajmniej jeśli chodzi o pisanie na temat swojego podwórka. Wcześniej rozmawiałem z moimi braćmi jako dziennikarz i oni wiedzieli, że chcę sytuację opisać. Teraz, jadąc do jakiegoś klasztoru, też chcę się dowiedzieć jak najwięcej, ale moi rozmówcy, żeby mieć do mnie zaufanie, muszą wiedzieć, że zachowam dyskrecję. Teraz chcę dobrze poznać rzeczywistość naszych wspólnot, by podejmować sensowne decyzje, a nie po to, żeby zebrać materiał do artykułu. Jeśli w swoich tekstach poruszam dominikańskie tematy, to dotyczą one jakiegoś zewnętrznego fragmentu naszego życia, a nie historii moich braci. Nie mogę pisać o ich sytuacji, bo ona jest przecież czymś, na co ja w tym momencie jakoś wpływam albo o czym decyduję.

Petnienie urzędu prowincjała sprawiło, że patrzy ojciec na Kościół trochę inaczej?

Na pewno bardzo mi poszerzyło widzenie, ponieważ dużo łatwiej jest coś postulować, niż wprowadzić to w życie. Sporo pisałem o pewnym ideale Kościoła, dlatego można mi powiedzieć: „Kozacki, teraz jesteś prowincjałem, no to do dzieła!”. Przekonałem się, że moja wizja i dobre intencje nie przekładają się automatycznie na rzeczywistość, a tego, co powinno być poprawione, nie da się prosto zadekretować. Bo tu nie chodzi o usprawnienie jakiegoś mechanizmu, tylko o pracę z żywymi ludźmi, u których zmiana często jest procesem delikatnym. W zarządzaniu prowincją wykorzystuję to, czego się uczyłem, pisząc reportaże, czyli patrzeć, myśleć, dopytywać, łączyć fakty, dostrzegać mechanizmy. Jednak teraz wszedłem w następny etap – widząc to wszystko, muszę myśleć, co i jak zrobić, żeby choć trochę pchnąć nasz zakon w stronę ideału, o którym wcześniej pisałem.

A może to nie był opis ideału, tylko idealizacja życia Kościoła? Coś, czego nie da się wcielić w życie? Za wysoko postawiona poprzeczka?

Chociaż dziś już wiem, jak trudno jest wprowadzić zmiany, to zdania na temat ideału nie zmieniłem i nie zrezygnowałem z tęsknoty za pewną wizją Kościoła. Przy całej świadomości tego, jak ciężko do tego ideału dorosnąć, nie obniżyłem standardów.

Miał ojciec możliwość zetknięcia się z Kościołem w różnych częściach świata. Jak z tamtej perspektywy wygląda polski Kościół?

Dzięki tym podróżom i spotkaniom przekonałem się, że coś, co w Polsce jest kwestią życia i śmierci, i o co się u nas kruszy kopie, gdzie indziej pozostaje rzeczą zupełnie drugorzędną. Doświadczyłem relatywizacji – ale nie prawdy, tylko problemów. Pamiętam, jak po powrocie z Azji zostałem zaproszony do udziału w dyskusji na temat tego, czy Radio Maryja nie ma zbyt wielkiego wpływu na życie polityczne. Wszyscy nad tym debatowali, jakby to był najważniejszy problem Kościoła. A co to ma za znaczenie dla katolików w Japonii? Nie popadajmy zatem w megalomanię i nie ekstrapolujmy naszych problemów na cały świat.

Ale my się lubimy uważać za pępek świata.

I wszyscy żyjemy Kościołem, który przenika różne dziedziny naszego życia. Zarówno wierzący broniący Kościoła, jak i ateusze atakujący Kościół czy media od prawa do lewa, chętnie publikujące materiały na jego temat. Dlatego ciekawym doświadczeniem jest znalezienie się, na przykład, w Japonii, gdzie nikt się nie zajmuje Kościołem, bo w tamtejszym społeczeństwie żyje zaledwie pół procent katolików, albo spędzenie Bożego Narodzenia na Tajwanie, gdzie nie tylko nie ma choinki, karpia i Wigilii, ale też nikt nie odprawia pasterki, a 25 grudnia jest powszednim dniem, nawet w dominikańskim klasztorze.

Takie podejście do Bożego Narodzenia z polskiej perspektywy nie mieści się w głowie.

Bo coś, co dla nas jest świętością i czymś centralnym, dla innych katolików nie ma żadnego znaczenia. Poznanie tych różnic pozwala spojrzeć na Kościół szerzej, a mnie skłoniło do zastanowienia się nad istotą, nad jądrem naszej wiary.

I do jakich wniosków ojciec doszedł?

Że tym, co nas łączy, są: Ewangelia, sakramenty, liturgia i żywy kontakt z Panem Bogiem, choć przybiera on zróżnicowane formy. Kontakt z Kościołem w innych krajach w pewnym sensie mnie uspokoił i utwierdził w przekonaniu, że naprawdę bramy piekielne Kościoła nie przemogą.

Bo?

Kościół w różnych miejscach jest na różnym etapie rozwoju, ma inną dynamikę, ale jego historia nieprzerwanie się toczy. Na przykład w krajach afrykańskich nadal można spotkać katolików, którzy nie są monoteistami. Co prawda przyjęli wiarę w Chrystusa, ale uznają Go za ledwie największego z bogów. Najpierw się temu dziwiłem, po czym sobie uświadomiłem, że gdyby spojrzeć na Polskę w 1016 roku, czyli pięćdziesiąt lat po przyjęciu chrztu, to pewnie wcale nie wyglądałaby lepiej niż, na przykład, dzisiejszy Kamerun. Zobaczenie Kościoła z szerszej perspektywy pozwala mi na zachowanie większego dystansu wobec wieszczenia w stylu: „To koniec Kościoła!”.

Ale chyba też daje większą zdolność oddzielania tego, co rzeczywiście istotne, od tego, co jest didaskalią? Bo to, że ludzie odchodzą od wiary, jest istotne, ale kwestia używania albo nieużywania kadzidełek podczas liturgii to już są didaskalia.

Rzeczywiście tych didaskaliów mamy mnóstwo. Natomiast kwestia odpływu wiernych może nam uświadomić, że są takie społeczności, w których wspólnoty się kurczą, ale w tym sa-

mym czasie w innych częściach świata istnieją wspólnoty, które dynamicznie wzrastają. Patrząc na Kościół globalnie, można dostrzec pewną cykliczność i różnorodność. Często się śmieję, kiedy czytam wypowiedzi ludzi mających się za światowych, którzy mówią, że nowoczesny świat odchodzi od religii i od Boga. Jaki nowoczesny świat? Raczej ten umierający kontynent, czyli Europa, a nie świat.

W jednym ze swoich tekstów, w kontekście naszych wojenek polsko-katolickich, pisze ojciec, że marzy o Kościele pojednanym. To marzenie jest wciąż aktualne?

Tu się nic nie zmieniło. Nadziwić się nie mogę, jak słyszę polemiki, w których jedni mówią, że musi być tak, a drudzy, że musi być inaczej. Na przykład jedni toczą boje o przyjmowanie komunii św. na rękę, inni o to, żeby wszyscy ją przyjmowali w pozycji klęczącej. A przecież można tak i tak, i nie ma tu powodu do żadnej wojny. Poza tym istota, to, co najważniejsze, leży gdzie indziej. Dlatego skupiłbym się przede wszystkim na tym, z jakim nastawieniem wewnętrznym człowiek przyjmuje Pana Jezusa. A czy on będzie siedział, stał, czy klęczał – to dla mnie naprawdę wtórne. W drugorzędnych sprawach dopuszczam absolutną różnorodność, wielobarwność, i szkoda tu tracić energię na przepychanki. Natomiast bardzo mi zależy na rzeczach najważniejszych – żeby one były na możliwie najwyższym poziomie. I o to się staram, o to się modlę, o tym marzę.

I

JAK TO WIDZĘ

Wierzę, że Kościół jest święty

Najpierw byliśmy świadkami wypowiedzi osób świeckich, które w prasie i mediach elektronicznych informowały o istnieniu teczki arcybiskupa Stanisława Wielgusa, a potem o jego agenturalnej przeszłości¹. Z początku nawoływano, by przełożyć ingres do chwili wyjaśnienia zarzutów przez kompetentnych historyków, a gdy zarzuty przybrały postać umieszczonych w internecie dokumentów oraz orzeczeń dwóch komisji – wzywano do rezygnacji hierarchy z przyjęcia godności metropolity warszawskiego. Odpowiedzią samego zainteresowanego były najpierw kategoryczne zaprzeczenia, potem stopniowe ich łagodzenie, przyjęcie godności metropolity warszawskiego, wreszcie przyznanie się do kłamstwa i rezygnacja ze świeżo objętego urzędu. Biskupi, komentując tę sytuację w liście z 12 stycznia, stwierdzili, że „brak uwzględnienia przyjmowanej powszechnie zasady domniemania niewinności przyczynił się do stworzenia wokół oskarżonego Arcybiskupa atmosfery nacisku, która nie ułatwiła mu przedstawienia opinii publicznej odpowiedniej obrony, do której miał prawo”. Pojawiły się przy tym głosy, że dziennikarze prześladują Kościół i niszczą jego autorytet, robiąc lustracyjną nagonkę na duchownych i oczerniając ich przed światem.

Z drugiej strony spotkać można było wypowiedzi dyskredytujące Kościół. Księża chodzący po kolędzie musieli niejednokrotnie odpowiadać na pytania, jak można ufać instytucji, która tak długo, autorytetem biskupów i papieża, podtrzymywała kłamstwa swojego współbrata i zgadzała się, by ktoś o niej niejasnej przeszłości

¹ Tekst ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” 29.01.2007.

obejmował metropolię Prymasa Tysiąclecia. Nie były to tylko pytania zadawane ze złośliwą satysfakcją, ale i z bólem: dla wielu zachowanie polskich hierarchów było ciosem. Wyraz buntu stanowiły żądania, by człowiek idący na mszę nie musiał się obawiać, że będzie uczestniczył w liturgii sprawowanej przez TW, a przychodząc do spowiedzi, nie będzie wyznawał grzechów wobec byłego donosiciela. Przy okazji uaktywnili się „reformatorzy Kościoła”, którzy zaistniały kryzys wykorzystali do lansowania twierdzeń, że Kościół tak daleko odszedł od nauczania Chrystusa, że skostniał w swoich strukturach, i że grzechy Kościoła nie wynikają tylko ze słabości ludzi, ale determinowane są przez system organizacji życia Kościoła – a wierność Chrystusowi powinna w takiej sytuacji polegać na odcięciu się od wspólnoty eklezjalnej i kroczeniu własną drogą (streszczam tezy opuszczającego wspólnotę dominikanów Tadeusza Bartosia). Jeszcze dalej poszli ci, którzy twierdzili, że skoro Kościół się skompromitował, to nie należy brać do serca jego nauczania w kwestiach moralnych. Skoro bowiem jego najwyżsi przedstawiciele publicznie nie potrafią dochować głoszonych przez siebie standardów, a nawet przyznać się do błędów, to nie trzeba się nimi wcale przejmować.

Przeciw podwójnej mierze

Nie potrafię utożsamić się z żadną z tych reakcji. Z jednej strony, żyjąc w Kościele i czując się jego częścią od ponad czterdziestu lat, z których większość spędziłem w habicie, napatrzyłem się na słabość i grzeszność jego członków. Mam też świadomość, że do grzeszności Kościoła i ja dołożyłem swoją część. Wiem aż nadto dobrze, że Kościół katolicki nie jest idealny ani w życiu indywidualnych osób, ani w działaniach wspólnotowych. Trawestując Herberta, powiedziałbym, że na taką miłość nas Bóg skazał, taką

przebódl nas wspólnotą. Jednak świadomość grzeszności, zarówno poszczególnych ludzi, jak i struktur, nie oznacza zgody na konkretny grzech. Każdy może upaść, każdy może zbłądzić. Postawa miłosierdzia polega na tym, że pozostawia się grzesznikowi drogę powrotu.

Duszpasterze dorastają do miary miłosierdzia Chrystusa, gdy wychodzą na bezdroża, by szukać zagubionej owcy, a gdy wróci, cieszą się i weselą, że ktoś, kto zaginął, odnalazł się, a kto był umarły, ożył. Każdy ma prawo do nawrócenia. Jednak żeby postawa miłosierdzia miała sens, grzech musi zostać nazwany. Po co bowiem miłosierdzie, jeśli nie ma grzechu, nie ma zła, nie ma winy?

Jednym z istotnych zadań Kościoła jest odczytywanie, jaka jest wola Boża, głoszenie, „co jest dobre, co Bogu miłe i co doskonałe” (por. Rz 12,2), oraz jasne nazywanie zła. Dotyczy to wszystkich i każdego. Jeśli jakaś osoba konsekrowana czy człowiek świecki czyni zło, obowiązkiem ochrzczonego, który ma udział w pro-rockim powołaniu Jezusa, jest nazwać to zło po imieniu. Wobec zabójstwa, cudzołóstwa czy kradzieży nie ma znaczenia, kto jest grzesznikiem.

Zadaniem wspólnoty Kościoła jest sprzeciwianie się złu, jego powołaniem jest protestowanie, gdy dzieje się komuś krzywda. Niewiernością byłoby milczenie, niewiernością byłoby zamykanie oczu na słabości swoich dzieci. Tymczasem w ostatnich czasach przesłanie, jakie Episkopat słał do społeczeństwa, przybierało postać: „Zwykły człowiek kłamie, a biskup mija się z prawdą, zwykły człowiek grzeszy, biskup popełnia błędy”. Wychwyciły tę podwójną miarę moralności Agnieszka Kublik i Monika Olejnik, przepytujące abp. Tadeusza Gocłowskiego. Zauważyły, że gdy wiele lat temu Lech Wałęsa na falach Radia Maryja był atakowany jako agent „Bolek”, abp Wielgus jako członek zespołu ds. duszpasterskiej troski nad Radiem Maryja twierdził: „Zdarza się, że zapraszani są ludzie o skrajnych, radykalnych niekiedy poglądach,

ale czy powinniśmy ich cenzurować? Każdy z nas kieruje się rozsądkiem i zmysłem krytycznym”. Gdy podobne zarzuty dotknęły abp. Wielgusa, usłyszeliśmy, że nie zostało mu zagwarantowane prawo do domniemania niewinności. Jak Kali atakuje, to dobrze, jak Kalego atakują, to źle. Nasuwa mi się inne zestawienie. Gdy ponad dziesięć lat temu okazało się, że prezydent elekt Aleksander Kwaśniewski skłamał na temat swojego wykształcenia, wielu ludzi zawrzało świętym oburzeniem. Gdy prawdy nie mówił arcybiskup, te same środowiska nabrały ducha przebaczenia i miłosierdzia. „Wnikliwa interpretacja wszystkich wypowiedzi ks. abp. Stanisława Wielgusa pozwala stwierdzić, że w sensie formalnym, podmiotowym, nie dopuścił się on kłamstwa, natomiast w sensie materialnym, przedmiotowym, rozminął się z prawdą” – pisał ks. Walerian Słomka.

Jak Kalego okłamać, to źle, jak Kali kłamie, to trzeba „unikać aroganckiej pozy sędziów minionych pokoleń, które żyły w innych czasach i w innych okolicznościach”. Stosowanie podwójnej miary moralności przekonać może tylko przekonanych, a wobec ludzi trzeźwo myślących jest dowodem mataczenia, przez co staje się działaniem samobójczym i niszczącym wiarygodność Kościoła. Nie może być zgody na takie postępowanie. Jeśli ktoś grzeszy, należy to powiedzieć.

Zło jest złem bez względu na to, kto je czyni. Nie może być tak, że obnażanie niecnego postępowania polityka lewicy traktowane jest jako troska o dobro wspólne, a obnażenie grzechu hierarchy Kościoła – jako ponížanie człowieka. Powiem więcej: w moim odczuciu od biskupa mamy prawo bardziej wymagać prawdomówności niż od polityka, bo komu wiele dano, od tego wiele będzie się wymagać. Dlatego w imię troski o Kościół nie może być we wspólnocie wierzących zgody na korporacjonizm księży, nie może być zgody na bizantynizm, karierowiczostwo i szukanie wygody biskupów, czyli ludzi powołanych, by służyli

chrześcijanom pełnią chrystusowego kapłaństwa. W takim samym stopniu nie może być również zgody na zakonnice, które boją się kontaktu z ludźmi, i księży, którzy odprawiają msze w piętnaście minut, a słowo Boże głoszą z zaangażowaniem dworcowych megafonów. Nie może być zgody na agresję środowisk katolickich wobec inaczej myślących, na pogardę wobec innych narodów czy religii, na głoszenie zliberalizowanego chrześcijaństwa, które nie stawia żadnych wymagań, tylko jest miłą bajeczką, wpływającą usypiająco na metafizyczne przeczucia współczesnego człowieka. Wierny Jezusowi jest ten, kto się takim zjawiskom przeciwstawia; ktoś, kto z równym przekonaniem będzie walczył z instrumentalizowaniem religii przez lewicę i prawicę, kto będzie mówił o niesprawiedliwości biednych i bogatych, protestował zarówno przeciwko wpędzaniu ludzi w fałszywe poczucie winy, jak i przeciwko rozmywaniu wymagań we wszechogarniającym relatywizmie.

Kościół został powołany przez Chrystusa, by być filarem prawdy. Jeśli jako ludzie słabi i grzeszni mamy głosić światu ewangeliczne wartości, do których nie dorastamy, to jedynym sposobem zachowania wiarygodności jest odważne przyznanie się do grzechów z wiarą w Boże i ludzkie miłosierdzie. Nie uda się nam ich wyzbyć. Do końca czasów będą w Kościele wybuchać afery i okazywać się będzie, że ten czy inny ksiądz lub świecki ukradł, skłamał albo też zdradził swoje powołanie przez erotyczne ekscesy. Jeśli nasze czyny nie mają zaprzeczać słowom, musimy nazywać zło po imieniu, z całą jasnością – o ile to możliwe, określając, kto zawinił. Jeśli zgodzimy się na podwójną miarę: łagodną wobec swoich oraz surową wobec obcych, niszczyć będziemy wiarygodność Kościoła.

Benedykt XVI apelował na placu Piłsudskiego: „Każdy chrześcijanin winien konfrontować własne poglądy ze wskazaniem Ewangelii i Tradycji Kościoła, aby dochować wierności słowu Chrystusa, nawet gdy jest ono wymagające i po ludzku trudne

do zrozumienia. Nie możemy ulec pokusie relatywizmu czy subiektywnego i selektywnego interpretowania Pisma Świętego. Tylko cała prawda pozwoli przyłączyć do Chrystusa, który umarł i zmartwychwstał dla naszego zbawienia”. Ważne, byśmy tych słów nie odnosili tylko do postmodernistycznego świata, ale także do siebie.

Im klarowniejszy będzie wykład wiary, im większa odwaga w nazywaniu własnego zła, tym jaśniejszym drogowskazem będzie Kościół dla świata pełnego sprzecznych koncepcji ludzkiej wolności i różnych systemów etycznych.

Przeciw Kościołowi doskonałych

Z drugiej strony, nie może być zgody na tworzenie Kościoła czystych, dostępnego jedynie dla ludzi bezbłędnych. Kościół, jeśli ma pozostać sobą, musi pogodzić się z tym, że jest wspólnotą grzeszników, że do końca świata będzie się zmagał ze słabościami swoich członków i niedoskonałościami swoich struktur. Wierność Chrystusowi nie polega na bezgrzeszności, ale na głoszeniu Dobrej Nowiny, dawaniu nadziei nawrócenia i przebaczenia każdego zła mocą Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego. Kościół musi wzywać do odwrócenia się od grzechów, ale nie może wyrzucić poza nawias tych, którzy upadają. Niestety, nie ma możliwości ani takiego zaprojektowania ustroju Kościoła, ani takiego uformowania uczniów Chrystusa, by zlikwidować ich grzeszność. Bez względu na to, czy w jego wspólnocie będzie na danym etapie dziejów panować duch komunii, czy duch hierarchii, absolutyzm czy demokracja, chrześcijanie będą potrzebowali nawrócenia i przebaczenia. Wyznacznikiem wierności Chrystusowi jest wierność Ewangelii. Można sobie przecież wyobrazić staczającą się w marazm wspólnotę rządzoną jak najbardziej demokratycz-

nymi prawami. Żeby się o tym przekonać, wystarczy popatrzeć na historię mojego zakonu, w którym od ośmiuset lat wszystkie władze wybierane są demokratycznie. Niejednokrotnie zdarzało się wśród dominikanów, że głosowania służyły podtrzymywaniu wygodnictwa: wybierano przełożonych, którzy gwarantowali święty spokój i folgowanie zachciankom. Stan demokratycznego zakonu przerażał św. Katarzynę ze Sieny do tego stopnia, że pisała, iż „jest on zdziczałym sadem”. Być może wiele dobrego wniosłoby demokratyczne wybieranie ordynariuszy i sufraganów, proboszczów i wikarych, ale mniemanie, że jest to panaceum na bolączki Kościoła, jest takim samym złudzeniem jak twierdzenie, że tylko powrót do przedsoborowej wizji Kościoła może zapobiec współczesnemu kryzysowi. Jeśli ktoś liczy, że znajdzie sposób na rozwiązanie wszystkich problemów, ulega złudzeniom. Wielokrotnie słyszałem na przykład ludzi, którzy twierdzili, że zniesienie celibatu albo wprowadzenie kapłaństwa kobiet zaradzi brakowi powołań i uzdrowi relacje między duchownymi a świeckimi. Istnieją jednak kraje i Kościoły, które wprowadziły takie reformy i przekonały się, że jedne problemy zniknęły, a pojawiły się inne, do tej pory nieznanne. Żadna rewolucja nie poradzi sobie z faktem grzechu pierwородnego. W tym miejscu trzeba powiedzieć, że dla człowieka decyzja Boga, który w słabości Jezusowego ciała chciał dokonać dzieła zbawienia, zawsze będzie źródłem zdziwienia, a czasem może nawet zgorzenia. Dziś, gdy tak bardzo ważna jest skuteczność, szybkość i niezawodność działania, wielu bulwersuje ekonomia zbawienia, która swoją siłę czerpie z przekonania, że ziarno musi obumrzeć, by przyniosło owoc obfity; że kto chce życie zyskać, musi je stracić, a moc w słabości się doskonali. Zdumienie budzi fakt, że Bóg w słabym ciele Chrystusowego Ciała, którym jest Kościół, chce trwać z nami przez wszystkie dni aż do skończenia świata. Świat – i to, co w nas jest ze świata – nie potrafi zrozumieć, dlaczego Jezus powołał do istnienia tak niedoskonałą

strukturę, dlaczego troskę o Ewangelię powierzył tak grzesznym ludziom. Wydaje się to takim samym absurdem jak chleb i wino, które trzymamy w rękach, twierdząc, że pod ich postaciami jest realnie obecny Bóg i że to właśnie jest największy skarb Kościoła. Kościół nigdy nie osiągnął stanu zadowalającego, nigdy nie był kwitnącym przedsiębiorstwem, efektywnie promieniującym dobrem i miłością oraz nie gwarantował solidnej formacji wszystkich chrześcijan. Zawsze borykał się z niedoskonałościami swoich krnąbrnych dzieci. Tak było od samego początku. Zdziwić się można było już w chwili, gdy Pan Jezus wybrał pierwszych uczniów i powstawała pierwsza wspólnota. Czy nie mogli być lepsi i mądrzejsi? Kłócili się, który z nich jest największy i który zajmie miejsce po prawicy i lewicy Jezusa. Nie rozumieli, co do nich mówił Mistrz. Pierwszy z apostołów próbował Go przekonać, by zrezygnował z planu zbawienia. Gdy Chrystusa aresztowano, uciekli, gdy Go oskarżono, jeden z nich zaparł się Nauczyciela. Gdy Chrystus zmartwychwstał, nie potrafili się odnaleźć w nowej sytuacji i wpadali w stare schematy. Gdy został zesłany Duch Święty, nie potrafili wykorzystać Jego potencjału. Paweł musiał sprzeciwić się Piotrowi, by nie odgrywał przed judeochrześcijanami szopki z zachowywaniem przepisów prawa. Ten sam Paweł nie potrafił dogadać się z Markiem, więc musieli się rozstać i osobno głosić Ewangelię. Pierwsze gminy chrześcijańskie też nie umiały zachować jedności. Poszczególni ich członkowie wołali: „Ja jestem Pawła, a ja Apollosa; ja jestem Kefasa, a ja Chrystusa” (1 Kor 1,12). Apostoł Paweł musiał napominać pierwszych chrześcijan Koryntu: „Słyszysz się powszechnie o rozpuszczeniu między wami, i to o takim rozpuszczeniu, jaka się nie zdarza nawet wśród pogan; mianowicie, że ktoś żyje z żoną swego ojca” (1 Kor 5,1). A jednak Chrystus zaufał takim grzesznym ludziom. „Nie wstydził się nazywać ich braćmi swymi”, choć pewnie niejednokrotnie wstydził się patrzeć na ich czyny.

Spis treści

Wstęp – Wojciech Prus OP	5
Ideału nie zmieniłem – z Pawłem Kozackim OP rozmawia Anna Sosnowska	7

I. JAK TO WIDZĘ

Wierzę, że Kościół jest święty.....	17
Niezgoda i miłosierdzie	33
Wiara i buchalteria	41
Wiara nie ma jednego oblicza.....	47
Przegrana i dług.....	57
Okiem uczestnika, a nie widza	71
Mój Kościół jest w potrzebie	87
W wersji pop.....	99
Kocham cię, mój wrogu.....	105
Jestem przeorem bogatego klasztoru	115
Marzy mi się Kościół bez podziałów	125
Jutro nie nadejdzie koniec	131

II. KOŚCIÓŁ ŻYWY – DOMINIKANIE NA ŚWIECIE

Czortków.....	151
Weekend w rodzinie	157
Stać się amerykańskim księdzem. Polscy dominikanie na Manhattanie.....	165

Akademia Opatrzności.....	181
Ku temu, co niezmiennie.....	197
Na krawędzi	207
Dlaczego chcesz wracać?.....	219
Czarna Madonna	239
Święta bez choinki	251
O dwóch takich, co we Lwowie	255
Inny świat w Fastowie	261
Niewidzialne dzieła miłości	265

